Franz Kafka

KOLONIA KARNA

Franz Kafka

KOLONIA KARNA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

KOLONIA KARNA

Franz Kafka

Jest to szczególny aparat - powiedział oficer do podróżnego - badacza i jak gdyby z pewnym zdumieniem spojrzał na dobrze mu przecież znany przyrząd. Zdawało się, że podróżny jedynie z grzeczności przyjął zaproszenie komendanta, który go wezwał do asystowania przy egzekucji żołnierza skazanego za nieposłuszeństwo i obrazę zwierzchnika. Co prawda, także w kolonii karnej nie bardzo interesowano się tą egzekucją. W każdym razie tutaj, w małej dolinie, głębokiej, piaszczystej i zewsząd zamkniętej niczym nieporośniętymi stokami, prócz oficera i podróżnego był tylko skazaniec, tępy mężczyzna o szerokich szczękach, zaniedbanych włosach i zmiętej twarzy. Był jeszcze także żołnierz trzymający ciężki łańcuch, z którego zwisały małe łańcuchy, a te z kolei także między sobą były połączone specjalnymi łańcuchami. Krępowały one kostki nóg, przeguby rąk, a także szyję skazańca.

Skazaniec wyglądał zresztą posłusznie jak pies i zdawało się, że można by mu pozwolić spokojnie biegać po stokach, a na początku egzekucji wystarczyłoby gwizdnąć, żeby przyszedł.

Podróżny niewiele uwagi poświęcał aparatowi i przechadzał się tam i z powrotem poza plecami skazańca, niemal widocznie myśląc o czym innym, podczas gdy oficer zajmował się ostatnimi przygotowaniami. To wpełzał pod aparat, głęboko wbudowany w ziemię, to znów wchodził na drabinę, by sprawdzić jego górne części. Były to prace, które właściwie można było powierzyć maszyniście, ale oficer dokonywał ich z wielkim zapałem, czy to dlatego, że był

szczególnym zwolennikiem tego aparatu, czy że z innych względów nie można było nikomu innemu powierzyć tej pracy.

- Teraz jest wszystko gotowe! - zawołał wreszcie i zszedł z drabiny.

Był niezwykle zmęczony, oddychał z otwartymi ustami, a za kołnierz munduru zatknięte miał dwie delikatne damskie chusteczki do nosa.

- Te mundury są jednak za ciężkie, jak na kraje podzwrotnikowe - powiedział podróżny, zamiast, jak tego oczekiwał oficer, zainteresować się aparatem.

- Zapewne - odparł oficer myjąc zabrudzone oliwą i smarem ręce w przygotowanym kuble z wodą - ale one oznaczają ojczyznę; nie chcemy stracić z myśli ojczyzny. Ale niech pan teraz spojrzy na ten aparat - dodał zaraz, osuszył ręce ręcznikiem i równocześnie wskazał na przyrząd. - Dotychczas potrzebna była jeszcze praca rąk, ale odtąd aparat pracuje zupełnie sam.

Podróżny skinął głową i poszedł za oficerem. Ten zaś próbował zabezpieczyć się na wszelki wypadek, mówił więc:

- Zdarzają się naturalnie uszkodzenia, co prawda mam nadzieję, że dzisiaj ich nie będzie, ale zawsze trzeba się z nimi liczyć. Aparat powinien być w ruchu przez dwanaście godzin bez przerwy. Jeśli nawet trafiają się defekty, to są one całkiem drobne i natychmiast się je naprawia. Czy nie zechce pan usiąść? - zapytał w końcu, ze stosu trzcinowych krzeseł wyciągnął jedno i ofiarował je podróżnemu; ten nie mógł odmówić.

Siedział teraz nad brzegiem wykopu, rzucił weń przelotne spojrzenie. Wykop nie był bardzo głęboki. Po jednej jego

stronie wygrzebana ziemia piętrzyła się w wał, po drugiej stronie stał aparat.

- Nie wiem - rzekł oficer - czy komendant objaśniał już panu aparat.

Podróżny zrobił nieokreślony ruch ręką; oficer niczego więcej nie pragnął, gdyż mógł teraz sam udzielić objaśnień.

- Aparat ten - powiedział i ujął rękojeść korby, na której się oparł - jest wynalazkiem naszego poprzedniego komendanta. Współpracowałem już przy najwcześniejszych jego próbach, brałem także udział we wszystkich pracach aż do jego ukończenia. Zasługa dokonania wynalazku przypada zresztą wyłącznie naszemu poprzedniemu komendantowi. Czy słyszał pan o nim? Nie? A więc nie przesadzę, jeśli powiem, że urządzenie całej kolonii karnej jest jego dziełem. My, jego przyjaciele, wiedzieliśmy już w chwili jego śmierci, że urządzenie kolonii jest dziełem na tyle skończonym w sobie, że jego następca, choćby miał w głowie tysiąc nowych planów, nie będzie mógł - przynajmniej w ciągu wielu lat - zmienić nic ze starego. I nasza przepowiednia się spełniła; nowy komendant musiał to uznać. Szkoda, że nie znał pan poprzedniego komendanta! Ale - przerwał sobie oficer - ja tu gadam, a jego aparat stoi oto przed nami. Składa się on, jak pan widzi, z trzech części. Dla każdej z tych części z biegiem czasu powstały popularne swojskie określenia. Dolna część nazywa się "łóżkiem", górna - "rysownikiem", a ta tutaj środkowa, wisząca część nazywa się "broną". - Broną? - spytał podróżny.

Nie słuchał dość uważnie, słońce operowało zbyt silnie w nieocienionej dolinie, trudno było zebrać myśli. Tym bardziej godny podziwu wydawał mu się oficer, który w ciasnej, paradnej, obciążonej epoletami i obwieszonej sznurami żołnierskiej kurtce tak gorliwie wykładał swoją rzecz, a

oprócz tego, podczas gdy mówił, jeszcze tu i tam śrubokrętem dokręcał jakąś śrubę. W podobnym usposobieniu jak podróżny zdawał się być żołnierz. Owinął sobie łańcuch skazańca wokół obu przegubów, ręką oparł się na karabinie, zwiesił głowę i nic go nie obchodziło. Podróżny nie dziwił się temu, ponieważ oficer mówił po francusku, a z pewnością ani żołnierz, ani skazaniec nie znali francuskiego. Tym bardziej było zastanawiające, że skazaniec starał się jednak zrozumieć wyjaśnienia oficera. Z pewnego rodzaju ospałą wytrwałością kierował zawsze wzrok w to miejsce, które właśnie oficer wskazywał, a kiedy teraz podróżny przerwał oficerowi pytaniem, i on także, podobnie jak oficer, spojrzał na podróżnego. - Tak, broną - odparł oficer. - To odpowiednia nazwa. Igły są umieszczone tak jak w bronie, a także całość porusza się jak brona, choć tylko w jednym miejscu, i to o wiele kunsztowniej.

Zresztą zaraz pan to zrozumie. Tutaj, na łóżku, kładzie się skazańca. Chciałbym najpierw opisać aparat, a dopiero potem pokazać samą procedurę. Będzie pan ją mógł później lepiej śledzić. Zresztą koło zębate w rysowniku zbyt się już starło i bardzo skrzypi, kiedy jest w ruchu; zaledwie można się wtedy porozumieć; niestety bardzo trudno tu dostać części zapasowe. A więc tutaj, jak powiedziałem, jest łóżko. Jest ono całkowicie i dokładnie pokryte warstwą waty; dowie się pan jeszcze, w jakim celu. Na owej wacie kładzie się skazańca na brzuchu, oczywiście nagiego; tutaj są rzemienie, aby go przytroczyć za ręce, za nogi i za szyję. Tu u wezgłowia łóżka, gdzie, jak powiedziałem, człowiek kładzie się najpierw twarzą, znajduje się ów mały klin filcowy, który z łatwością można tak wyregulować, aby wepchnąć go człowiekowi wprost w usta. A to w tym celu, aby przeszkodzić krzykom i rozgryzieniu języka. Naturalnie człowiek musi ten filc wziąć w usta, gdyż inaczej rzemień przytrzymujący szyję złamie mu kark.

- To jest wata? - spytał podróżny i pochylił się do przodu.

- Tak, na pewno - odparł oficer ze śmiechem - niech pan sam dotknie. - Ujął rękę podróżnego i przeciągnął ją po łóżku. - Jest to wata specjalnie spreparowana, dlatego wygląda tak nie do poznania; będę jeszcze mówił o jej przeznaczeniu.

Podróżny zainteresował się już nieco aparatem; trzymając dłoń nad oczami dla ochrony przed słońcem, spojrzał w górę na aparat. Była to duża budowla. Łóżko i rysownik posiadały jednakowe wymiary i wyglądały jak dwie ciemne skrzynie. Rysownik wznosił się mniej więcej dwa metry ponad łóżkiem; oba przyrządy były na krawędziach połączone czterema mosiężnymi sztabami, które niemal iskrzyły się w słońcu. Pomiędzy skrzyniami na stalowej taśmie wisiała brona.

Oficer ledwie zwrócił uwagę na poprzednią obojętność podróżnego, teraz jednak pochwycił jego budzące się zainteresowanie; dlatego przerwał swoje wyjaśnienia, aby zostawić podróżnemu czas na spokojną obserwację. Skazaniec naśladował podróżnego; ponieważ nie mógł osłonić oczu dłonią, mrugał ku górze nieosłoniętymi.

- A więc tutaj leży człowiek - rzekł podróżny, odchylił się w krześle i skrzyżował nogi.

- Tak - odpowiedział oficer, odsunął czapkę nieco do tyłu i przeciągnął dłonią po gorącej twarzy. - Teraz niech pan posłucha. Zarówno łóżko, jak i rysownik posiadają swoje własne baterie elektryczne; łóżko potrzebuje jej dla siebie, rysownik dla brony. Skoro tylko człowiek zostanie przytroczony, wprawia się łóżko w ruch. Drobnymi, bardzo szybkimi ruchami drga ono równocześnie na boki oraz w przód i w tył.

Podobne aparaty widział pan może w zakładach leczniczych; tylko że przy naszym łóżku wszystkie ruchy są dokładnie obliczone; mianowicie muszą one być dokładnie zestrojone z ruchami brony.

Właśnie tej bronie pozostawia się samo wykonanie wyroku.

- Jakże więc brzmi wyrok? - zapytał podróżny.

- Tego pan także nie wie? - zdumiał się oficer i przygryzł wargi. - Proszę mi wybaczyć, jeżeli moje wyjaśnienia są nieuporządkowane; bardzo przepraszam. Dawniej mianowicie zwykł był objaśniać sam komendant; ale nowy komendant zwolnił się z tego zaszczytnego obowiązku; że jednak nawet tak dostojnego gościa - podróżny obiema rękami próbował bronić się przed tymi wyrazami czci, lecz oficer obstawał przy nich - że nawet tak dostojnego gościa nie poinformował o formie naszego wyroku, to już jest coś nowego, co... - miał już na wargach przekleństwo, opanował się jednak i rzekł tylko: - Nie powiadomiono mnie o tym, nie moja więc wina. Zresztą, owszem, jestem w stanie jak najlepiej objaśnić nasze sposoby wykonywania wyroku, gdyż noszę tutaj - uderzył się po górnej kieszeni kurtki - odręczne rysunki poprzedniego komendanta.

- Odręczne rysunki samego komendanta? - spytał podróżny. - Czyżby on wszystko łączył w swej osobie? Czyżby był żołnierzem, sędzią, konstruktorem, chemikiem, rysownikiem?

- Tak jest - odparł oficer kiwając głową z nieruchomym, zamyślonym spojrzeniem. Następnie krytycznie spojrzał na swoje ręce; wydały mu się nie dość czyste, aby dotykać rysunków; poszedł więc do kubła i umył je raz jeszcze. Potem wyciągnął małą skórzaną teczkę i powiedział:

- Nasz wyrok nie jest ciężki. Za pomocą brony należy skazańcowi wypisać na ciele nakaz, który przekroczył. Temu skazańcowi na przykład - oficer wskazał na mężczyznę - wypisze się na ciele:

"Szanuj swego zwierzchnika!"

Podróżny przelotnie spojrzał na skazanego. Gdy oficer na niego wskazywał, trzymał on głowę pochyloną i zdawał się ze wszystkich sił natężać słuch, aby się czegoś dowiedzieć. Ale ruchy jego nabrzmiałych, zaciśniętych warg wyraźnie wskazywały, że nic nie mógł zrozumieć. Podróżny chciał pytać o rozmaite rzeczy, ale na widok tego człowieka zapytał tylko:

- Czy on zna swój wyrok?

- Nie - odpowiedział oficer i chciał zaraz dalej ciągnąć objaśnienia, lecz podróżny mu przerwał:

- On nie zna swego własnego wyroku?

- Nie - odparł znowu oficer i zatrzymał się na chwilę, jak gdyby pragnął usłyszeć od podróżnego bliższe uzasadnienie jego pytania, po czym rzekł: - Zawiadamianie go o wyroku byłoby niepotrzebne. Pozna go przecież na własnym ciele.

Podróżny chciał już zamilknąć, gdy uczuł, że skazaniec wlepia w niego wzrok, jak gdyby pytał, czy pochwala on opisane postępowanie. Dlatego podróżny, który już oparł się w krześle, znowu pochylił się do przodu i zapytał jeszcze:

- Ale on chyba wie o tym, że w ogóle został skazany?

- Także nie - odrzekł oficer i uśmiechnął się do podróżnego, jak gdyby oczekiwał od niego jeszcze jakichś osobliwych wynurzeń.

- Nie - powiedział podróżny i przeciągnął dłonią po czole - a więc ten człowiek nie wie jeszcze teraz, jak przyjęto jego obronę?

- Nie dano mu żadnej sposobności obrony - powiedział oficer i spojrzał w bok, jakby przemawiał do samego siebie i nie chciał zawstydzać podróżnego opowiadaniem tych oczywistych dla niego rzeczy.

- Ależ on miał przecież chyba możność obrony - powiedział podróżny i wstał z krzesła.

Oficer poznał, iż grozi mu niebezpieczeństwo wstrzymania na dłużej objaśnień; podszedł więc do podróżnego, uwiesił się u jego ramienia, wskazał ręką na skazańca, który teraz, gdy tak wyraźnie zwrócono na niego uwagę, stanął wyprostowany - także żołnierz przyciągnął łańcuch - i powiedział:

- Rzecz ma się w sposób następujący. Tutaj, w karnej kolonii, ja zostałem ustanowiony sędzią. Mimo mego młodego wieku. Gdyż we wszystkich sprawach karnych ja także stałem u boku poprzedniego komendanta, a zarazem najlepiej znam aparat. Podstawowa zasada, według której wydaję orzeczenia, brzmi: wina jest zawsze niewątpliwa. Inne sądy mogą nie wyznawać tej zasady, gdyż składają się one z wielu głów oraz mają nad sobą sądy wyższe. Tutaj jest inaczej lub przynajmniej było inaczej za czasów poprzedniego komendanta. Nowy okazał już zresztą chęć mieszania się do moich orzeczeń, ale dotychczas udało mi się przed tym obronić i także dalej mi się będzie udawało. Pan chciał, aby objaśnić panu ten wypadek; jest on równie prosty jak wszystkie. Dziś rano pewien kapitan złożył doniesienie, że ten człowiek, który został mu przydzielony jako ordynans i sypia pod jego drzwiami, zaspał. Jego obowiązkiem jest mianowicie wstawać przy uderzeniu

każdej godziny i salutować przed drzwiami kapitana. Obowiązek, rzecz jasna, nie jest ciężki, a jest konieczny, gdyż ów człowiek powinien być zawsze rześki, tak do czuwania, jak i do usługi. Wczorajszej nocy kapitan chciał sprawdzić, czy ordynans wypełnia swój obowiązek. Z uderzeniem drugiej godziny otworzył drzwi i znalazł go skulonego we śnie. Poszedł po pejcz i uderzył go w twarz. Zamiast teraz wstać i prosić o przebaczenie, ten człowiek chwycił swego pana za nogi, potrząsnął nim i zawołał: Odrzuć pejcz, bo cię pożrę! Oto jest treść sprawy. Kapitan przyszedł do mnie przed godziną, spisałem jego zeznania i od razu wydałem wyrok. Potem kazałem nałożyć temu człowiekowi łańcuchy. Wszystko to było bardzo proste. Gdybym tego człowieka najpierw wezwał i wybadał, powstałoby tylko zamieszanie. On by kłamał, a gdyby mi się udało zbić te kłamstwa, zastąpiłby je nowymi kłamstwami, i tak dalej. A teraz go trzymam i już go nie puszczę. Czy już wszystko jasne? Ale czas mija, egzekucja powinna się już zacząć, a ja nie skończyłem jeszcze objaśniać aparatu.

Zmusił podróżnego do zajęcia krzesła, znów podszedł do aparatu i zaczął:

- Jak pan widzi, kształt brony odpowiada kształtowi człowieka; tutaj jest brona dla tułowia, a tutaj są brony dla nóg. Dla głowy przeznaczone jest tylko to małe ostrze. Czy to dla pana jasne? - Nachylił się przyjaźnie ku podróżnemu, gotowy do najbardziej wyczerpujących objaśnień.

Podróżny ze zmarszczonym czołem oglądał bronę. Nie zadowoliły go informacje na temat postępowania sądowego. Wciąż musiał sobie powtarzać, że idzie tu o karną kolonię, że konieczne są tutaj specjalne przepisy i że musi się aż do końca postępować po wojskowemu. Ale poza tym pokładał pewne nadzieje w osobie nowego komendanta, który widocznie, chociaż powoli, miał zamiar wprowadzić

nowe postępowanie, tylko że nie może ono trafić do ograniczonej głowy tego oficera. Ten bieg myśli skłonił podróżnego do pytania:

- Czy komendant będzie obecny przy egzekucji?

- To nie jest pewne - odparł oficer, boleśnie dotknięty tym obcesowym pytaniem, a jego przyjazna mina zgorzkniała.

- Właśnie dlatego musimy się pośpieszyć. A nawet, choć z przykrością, będę musiał skrócić moje objaśnienia. Ale jutro, gdy aparat zostanie oczyszczony - gdyż jego jedynym błędem jest to, że tak bardzo się zanieczyszcza - mógłbym dodatkowo udzielić bliższych wyjaśnień. Teraz więc tylko najniezbędniejsze. Gdy człowiek leży na łóżku, a ono zostało już wprawione w drgający ruch, brona opada na ciało. Sama ustawia się w ten sposób, że ledwie tylko dotyka ciała ostrzami; gdy osiągnie się to ustawienie, ta oto stalowa lina natychmiast napręża się jak sztaba. I teraz zaczyna się zabawa.

Niewtajemniczony nie widzi z zewnątrz żadnej różnicy pomiędzy karami. Wydaje się, że brona pracuje jednakowo. Drgając, zagłębia ona swoje ostrza w ciało, które ponadto drga wraz z łóżkiem. Aby zaś umożliwić każdemu kontrolę wykonania wyroku, brona została zbudowana ze szkła. Spowodowało to pewne trudności techniczne w związku z umocowaniem w niej igieł, ale po wielu próbach to się udało. Nie cofnęliśmy się, jak pan widzi, przed żadnym trudem. A teraz każdy może widzieć poprzez szkło, jak powstaje napis na ciele. Czy zechce pan podejść bliżej i obejrzeć sobie igły.

Podróżny podniósł się z wolna, podszedł i nachylił się nad broną.

- Widzi pan - mówił oficer - dwojakie igły w wielorakim ustawieniu. Każda długa ma obok siebie jedną krótką. Długa

mianowicie pisze, a z krótkiej tryska woda, która zmywa krew, aby zachować pismo w stałej czystości. Woda z krwią zostaje następnie skierowana tutaj do małych rynien i spływa w końcu do tej rynny głównej, której rura odpływowa prowadzi do wykopu.

Oficer dokładnie pokazywał palcem drogę, jaką woda z krwią musi przebyć. Gdy obiema rękami uchwycił wprost wylot rury odpływowej, aby to możliwie najbardziej unaocznić, podróżny podniósł głowę i macając ręką za sobą, chciał wrócić na krzesło. Wtedy zobaczył ku swemu przerażeniu, że podobnie jak on sam, również skazaniec skorzystał z zaproszenia oficera, aby obejrzeć z bliska urządzenie brony. Szarpnął nieco łańcuchem zaspanego żołnierza i także pochylił się nad szkłem. Widać było, jak nie pewnymi oczyma szukał tego, co właśnie oglądali obaj panowie, ale nie udawało mu się to, gdyż brakowało mu objaśnień. Nachylał się tu i ówdzie. Wciąż na nowo przebiegał wzrokiem po szkle. Podróżny chciał go odpędzić, gdyż to, co czynił, było prawdopodobnie karalne. Ale oficer zatrzymał podróżnego silnie jedną ręką, a w drugą ujął grudkę ziemi z wału i rzucił nią w żołnierza. Ten gwałtownie otwarł oczy, zobaczył, na co skazaniec się odważył, upuścił karabin, zaparł się obcasami w ziemię, odciągnął skazańca do tyłu, aż ten upadł, i patrzył na niego z góry, jak obracał się i dzwonił łańcuchami.

- Pomóż mu wstać! - krzyknął oficer, gdyż zauważył, że skazaniec odciągał zbytnio uwagę podróżnego. Podróżny odwrócił się nawet od brony, wcale się o nią nie troszcząc, lecz pragnął tylko stwierdzić, co się dzieje ze skazańcem.

- Obchodź się z nim ostrożnie! - krzyknął znowu oficer. Obiegł naokoło aparat, sam ujął skazańca pod ramiona i z pomocą żołnierza postawił go na ślizgających się co chwila stopach.

- Teraz wiem już wszystko - powiedział podróżny, gdy oficer znów do niego powrócił.

- Z wyjątkiem rzeczy najważniejszej - odparł tamten, ujął podróżnego za ramię i wskazał w górę. - Tam, w rysowniku, jest zespół kół zębatych, które regulują ruch brony, a zespół ten nastawia się odpowiednio do wykresu, na który opiewa wyrok. Wykorzystuję jeszcze wykresy poprzedniego komendanta. Oto one - wyciągnął kilka kartek ze skórzanej teczki. - Niestety, nie mogę dać ich panu do ręki, są najdroższą rzeczą, jaką posiadam. Niech pan usiądzie, pokażę je panu z tej odległości, tak że będzie pan mógł wszystko dobrze obejrzeć.

Pokazał pierwszą kartkę. Podróżny chętnie wyrzekłby kilka słów uznania, ale zobaczył tylko labirynt linii, wielokrotnie krzyżujących się nawzajem i tak gęsto pokrywających papier, że z trudem tylko można było rozpoznać między nimi białe, puste miejsca.

- Proszę czytać - powiedział oficer.

- Nie potrafię - odparł podróżny.

- Przecież to wyraźne - rzekł oficer.

- To bardzo kunsztowne - odpowiedział podróżny wymijająco - ale nie umiem tego odcyfrować.

- Tak - rzekł oficer, roześmiał się i schował teczkę z powrotem - to nie jest kaligrafia dla szkolnych dzieci. To trzeba długo studiować. I pan na pewno by się w końcu w tym rozeznał. To pismo oczywiście nie może być proste; nie powinno ono zabijać natychmiast, lecz przeciętnie dopiero w ciągu dwunastu godzin; na szóstą godzinę oblicza się punkt zwrotny. Właściwe pismo musi więc otaczać wiele, wiele ozdobników; prawdziwe pismo otacza ciało tylko wąskim

paskiem; reszta tułowia przeznaczona jest na ozdobniki. Czy potrafi pan teraz ocenić pracę brony i całego aparatu? Niech pan tylko spojrzy!

Wskoczył na drabinę, zakręcił kołem, zawołał z góry:

- Uwaga, proszę odejść na bok! - i wszystko ruszyło. Gdyby koło nie skrzypiało, byłoby to wspaniałe.

Oficer, jakby zaskoczony tą wadą koła, pogroził mu pięścią, następnie, usprawiedliwiając się, rozłożył ręce w stronę podróżnego i szybko zlazł z drabiny, aby z dołu obserwować ruch aparatu. Coś było jeszcze nie w porządku, co tylko on zauważył; wlazł z powrotem na górę, wsadził obie ręce do wnętrza rysownika, potem, aby szybciej znaleźć się na dole, zamiast skorzystać z drabiny, ześliznął się po jednej ze sztab i natężając głos, aby być zrozumianym w tym łoskocie, krzyknął podróżnemu do ucha:

- Pojmuje pan działanie? Brona zaczyna pisać; kiedy z pierwszym napisem na grzbiecie człowieka jest już gotowa, zwija się warstwa waty i powoli obraca ciało na bok, aby dostarczyć bronie nowego miejsca.

Tymczasem miejsca z wyrytym aż do krwi pismem kładą się na wacie, która dzięki specjalnemu spreparowaniu natychmiast tamuje krwawienie, co pozwala na dalsze pogłębianie pisma. Te tutaj haczyki na krawędzi brony oddzierają następnie, przy dalszym obrocie ciała, watę z ran, ciskają ją do wykopu i brona znów ma robotę. Tak pisze ona coraz głębiej w ciągu dwunastu godzin. Przez pierwsze sześć godzin skazaniec żyje niemal tak jak dawniej, cierpi tylko z powodu bólu. Po dwóch godzinach odejmuje się filc, gdyż człowiek nie ma już siły krzyczeć. Do tej tutaj elektrycznie ogrzewanej miski u wezgłowia wlewa się ciepłą papkę z ryżu, z której człowiek, o ile ma ochotę, może wziąć

tyle, ile zaczerpnie językiem. Każdy korzysta z tej sposobności. Ja wiem, że każdy, a mam duże doświadczenie. Dopiero około szóstej godziny nie znajduje już skazaniec przyjemności w jedzeniu. Zazwyczaj klękam wtedy tutaj na dole i obserwuję to zjawisko. Człowiek rzadko połyka ostatni kęs, obraca go tylko w ustach i wypluwa do wykopu. Muszę się wówczas uchylić, inaczej trafiłby mnie w twarz. Ale jakże spokojny staje się człowiek wtedy, około szóstej godziny! Najgłupszy przychodzi do rozumu. Zaczyna się to koło oczu: stąd się rozszerza. Widok ten mógłby skłonić do położenia się samemu pod bronę.

Dalej nic się nie dzieje, człowiek zaczyna tylko odcyfrowywać pismo, otwiera usta, jak gdyby nasłuchiwał. Widział pan, że nie jest łatwo odczytać to pismo oczyma; ale nasz człowiek odcyfrowuje je swymi ranami. Jest to zresztą duża praca. Do jej wykonania potrzebuje on sześciu godzin. Potem jednak brona przekłuwa go całkowicie i rzuca go do wykopu, gdzie z pluskiem pada na wodę z krwią i watę.

Wówczas wymiar sprawiedliwości dobiegł końca, a my, ja i żołnierz, zagrzebujemy człowieka.

Podróżny nachylił ucho do oficera i z rękami w kieszeniach surduta przypatrywał się pracy maszyny. Także skazaniec się jej przyglądał, jednak bez zrozumienia. Nachylił się nieco i śledził chwiejące się igły, gdy żołnierz, na znak oficera, przeciął mu z tyłu nożem koszulę i spodnie, tak że z niego opadły; skazaniec usiłował pochwycić spadającą odzież, by okryć swą nagość, ale żołnierz podniósł go w górę i strząsnął z niego ostatnie szmaty. Oficer zatrzymał maszynę i w zapadłej teraz ciszy ułożono skazańca pod broną. Zdjęto mu łańcuchy, a zamiast nich umocowano rzemienie; skazańcowi wydało się to w pierwszej chwili niemal ulgą. A teraz brona opuściła się jeszcze nieco niżej, gdyż był to chudy człowiek. Gdy ostrza go dotknęły, przez jego skórę przebiegł dreszcz;

podczas gdy żołnierz zajęty był jego prawą ręką, wyciągnął on sam lewą w nie oznaczonym kierunku; był to jednak kierunek, w którym stał podróżny. Oficer bez przerwy patrzał z boku na podróżnego, próbując odczytać z jego twarzy wrażenie, jakie robi na nim egzekucja, którą mu dopiero co, przynajmniej powierzchownie, opisał.

Rzemień, przeznaczony dla przegubu ręki, pękł; prawdopodobnie żołnierz zaciągnął go zbyt mocno.

Oficer musiał pomóc, żołnierz pokazywał mu urwany kawałek. Oficer podszedł ku niemu i rzekł zwracając twarz do podróżnego:

- Maszyna jest bardzo skomplikowana, tu i ówdzie musi coś rwać się lub pękać; nie powinno to jednak wypaczać ogólnego sądu o niej. Rzemień można zresztą natychmiast zastąpić, użyję w tym celu łańcucha; ucierpi przez to co prawda delikatność drgań u prawego ramienia. - I zakładając łańcuchy mówił jeszcze: - Środki potrzebne do utrzymania maszyny są teraz bardzo ograniczone. Za czasów poprzedniego komendanta korzystałem swobodnie z kasy przeznaczonej tylko na ten cel. Był tutaj magazyn, w którym przechowywano wszelkie możliwe części zastępcze. Przyznaję, że dopuszczałem się przy tym niemal marnotrawstwa, oczywiście dawniej, a nie teraz, jak twierdzi nowy komendant, któremu wszystko służy jako pretekst do zwalczania dawnych urządzeń. Teraz sam zarządza kasą przeznaczoną na utrzymanie maszyny, a jeśli posyłam po nowy rzemień, żąda zerwanego jako dowodu, nowy przychodzi dopiero po dziesięciu dniach, jest już jednak w gorszym gatunku i nie na wiele się przydaje. Ale jak ja mam tymczasem obsługiwać maszynę bez rzemieni, to nikogo nie obchodzi.

Podróżny rozważał: wtrącać się energicznie w cudze sprawy, to zawsze budzi wątpliwości. On sam nie był ani obywatelem karnej kolonii, ani obywatelem państwa, do którego ona należała. Gdyby chciał potępić lub zgoła próbować wstrzymać egzekucję, mogliby mu powiedzieć: "Jesteś obcy, siedź cicho". Nie mógłby na to nic odpowiedzieć, lecz tylko dodać, że w tym wypadku on sam nie rozumie swego postępowania, gdyż podróżuje jedynie po to, aby obserwować, a w żadnym razie nie po to, aby cokolwiek zmieniać w obcych procedurach sądowych. Ale tutaj sytuacja aż prowokowała do tego. Niesprawiedliwość postępowania i nieludzkość egzekucji nie ulegała wątpliwości. Nikt nie mógł zarzucić podróżnemu jakiejkolwiek stronniczości, gdyż skazaniec był mu obcy, nie był jego rodakiem ani nawet człowiekiem wzbudzającym współczucie. A sam podróżny miał rekomendacje wyższych urzędów, był tutaj przyjmowany z najwyższą uprzejmością, a to, że zaproszono go na egzekucję, mogło nawet oznaczać, że pragnie się usłyszeć o niej jego opinię. Było to tym prawdopodobniejsze, że komendant, jak to teraz najwyraźniej usłyszał, nie był zwolennikiem tego postępowania, a w stosunku do oficera zachowywał się niemal wrogo.

Wtem usłyszał podróżny, że oficer krzyknął z wściekłości. Założył właśnie skazańcowi, nie bez trudu, filcowy klin w usta, gdy skazaniec, nie mogąc opanować podrażnienia, zamknął oczy i zwymiotował. Oficer szybko poderwał go znad klina i chciał odwrócić mu głowę nad wykop; było jednak za późno, nieczystości spływały już po maszynie.

- Wszystko to wina komendanta! - krzyczał oficer i rzucał się nieprzytomnie przy mosiężnych sztabach.

- Maszyna zagnojona jak stajnia! - Drżącymi rękami pokazywał podróżnemu, co się stało. - Tak jakbym godzinami

nie próbował tłumaczyć komendantowi, że w dniu przed egzekucją nie należy wydawać żadnego jedzenia! Ale nowe, łagodne kierownictwo jest innego zdania. Zanim człowieka odprowadzą, damy komendanta napychają go słodyczami po dziurki od nosa. Przez całe życie żywił się śmierdzącą rybą, a teraz musi jeść słodycze! Zresztą, niechby nawet, nie miałbym nic przeciw temu, ale dlaczego nie można nabyć nowego filcu, o który proszę od kwartału. Jak można bez wstrętu brać do ust ten filc, który ponad stu ludzi ssało i gryzło w agonii?

Skazaniec położył głowę i wyglądał spokojnie, żołnierz zajęty był czyszczeniem maszyny koszulą skazańca. Oficer podszedł do podróżnego, który jakby coś przeczuwając odstąpił krok w tył, lecz oficer ujął go pod rękę i odciągnął na bok.

- Pragnę powiedzieć panu kilka słów w zaufaniu - rzekł - czy mogę?

- Oczywiście - odparł podróżny i słuchał z opuszczonymi oczami.

- Ten sposób dokonywania straceń, który ma pan teraz sposobność podziwiać, nie ma już obecnie w naszej kolonii żadnego otwartego zwolennika. Ja jestem jego jedynym rzecznikiem, a równocześnie jedynym obrońcą spuścizny starego komendanta. O dalszym rozwinięciu procedury nie mogę nawet myśleć, zużywam wszystkie swe siły, aby utrzymać to, co istnieje. Dopóki stary komendant żył, kolonia była pełna jego zwolenników; co do mnie, posiadam częściowo siłę argumentacji starego komendanta, ale zupełnie brak mi jego władzy; z tego powodu stronnicy jego poukrywali się, jest ich jeszcze wielu, ale żaden się do tego nie przyznaje. Gdyby pan dzisiaj, a więc w dniu straceń,

poszedł do herbaciarni i posłuchał, co ludzie mówią, usłyszałby pan zapewne tylko dwuznaczne wypowiedzi.

Są to sami zwolennicy, ale pod obecnym komendantem i przy jego obecnych poglądach dla mnie zupełnie bezużyteczni. A teraz pytam pana: czy z powodu tego komendanta i pań, które wywierają na niego wpływ, ma to dzieło życia - wskazał na maszynę - ulec zniszczeniu? Czy można do tego dopuścić?

Nawet jeżeli jest się obcym i tylko przez parę dni przebywa się na naszej wyspie? Ale nie ma czasu do stracenia, już się coś przygotowuje przeciwko memu wymiarowi sprawiedliwości; w komendanturze odbywają się już narady, do których nie jestem dopuszczany; nawet pańska dzisiejsza wizyta wydaje mi się znamienna dla całej sytuacji; tchórzliwie posyła się naprzód pana, obcego. Jakże inaczej wyglądała dawniej egzekucja! Już na dzień przed straceniem cała dolina była pełna ludzi; wszyscy przychodzili tylko po to, aby się przypatrzyć; wczesnym rankiem zjawiał się komendant ze swymi damami, fanfary budziły cały plac obozowy; ja składałem meldunek, że wszystko jest gotowe; towarzystwo, w którym nie mogło zabraknąć ani jednego wysokiego urzędnika, ustawiało się wokół maszyny; ten stos trzcinowych krzeseł jest mizerną pozostałością z owych czasów. Świeżo wyczyszczona maszyna błyszczała, niemal do każdej egzekucji brałem nowe części zastępcze. Pod spojrzeniem setek oczu - wszyscy widzowie, aż tam, do wzgórz, stali na czubkach palców - komendant sam układał skazańca pod broną. Czynność, którą dzisiaj ośmiela się wykonywać zwykły żołnierz, należała dawniej do mnie, przewodniczącego sądu, i była czynnością zaszczytną. I teraz zaczynała się egzekucja! Żaden fałszywy ton nie zakłócał pracy maszyny. Wielu nawet już nie patrzyło, lecz leżało w piasku z zamkniętymi oczami. Wszyscy wiedzieli: teraz staje się zadość sprawiedliwości. W ciszy słychać było

tylko wzdychanie skazańca, stłumione przez filc. Dziś nie udaje się już nawet maszynie wycisnąć ze skazańca silniejszego westchnienia, którego filc nie mógłby stłumić; ale wówczas piszące igły wydzielały gryzący płyn, którego dziś już nie wolno używać. No, a potem nadchodziła szósta godzina! Nie można było zaspokoić próśb tych wszystkich, którzy chcieli przyglądać się z bliska. Komendant w swojej mądrości rozkazywał, aby przede wszystkim uwzględnić prośby dzieci; ja z racji mojego zawodu zawsze mogłem stać blisko; często też na prawym i lewym ramieniu piastowałem dwoje małych dzieci. Jakże nas przejmował wyraz zmiany na umęczonej twarzy, jakże mieniły się nasze policzki w blasku osiągniętej nareszcie, a już przemijającej sprawiedliwości! Cóż to były za czasy, kolego!

Oficer zapomniał widocznie, kto przed nim stoi; objął podróżnego i położył mu głowę na ramieniu.

Podróżny był bardzo zakłopotany, niecierpliwie spoglądał ponad głową oficera. Żołnierz skończył już czyścić maszynę i teraz jeszcze wylał z puszki papkę ryżową do miski. Zaledwie zauważył to skazaniec, który już bodaj całkiem przyszedł do siebie, zaczął chłeptać papkę językiem. Żołnierz go odpychał, gdyż papka była przeznaczona na później. W każdym razie było też rzeczą nieprzyzwoitą, że żołnierz brudnymi rękami sięgał do miski i jadł z niej na oczach łakomego skazańca.

Oficer szybko się opanował.

- Nie chciałem pana wzruszać - powiedział. - Wiem, że nie można dziś dać pojęcia o tamtych czasach.

Zresztą maszyna pracuje jeszcze i działa za siebie. Ona działa za siebie, nawet choć sama już tylko stoi w tej dolinie. A ciało wciąż jeszcze spada w końcu niepojęcie miękkim

ruchem w głąb wykopu, choć nie gromadzą się wokół niego jak muchy setki ludzi, tak jak dawniej. Niegdyś musieliśmy zbudować nad wykopem silną barierę; już dawno ją zwalono.

Podróżny chciał odwrócić twarz od oficera i spojrzał naokoło bez celu. Oficer sądził, że ogląda on pustkę doliny; dlatego ujął go za ręce, obrócił się wokół niego, by uchwycić jego wzrok, i zapytał:

- Widzi pan tę hańbę?

Ale podróżny milczał.

Oficer odstąpił od niego na chwilę; z rozstawionymi nogami, z rękami opartymi na biodrach, stał spokojni i patrzył w ziemię. Potem zachęcająco uśmiechnął się do podróżnego i rzekł:

- Wczoraj, gdy komendant pana zapraszał, znajdowałem się w pobliżu. Słyszałem zaproszenie. Znam komendanta. Natychmiast zrozumiałem, co pragnie przez to zaproszenie osiągnąć. Mimo że ma dość władzy, aby wystąpić przeciwko mnie, nie ma na to jeszcze odwagi; ale chce mnie poddać pańskiej opinii; opinii poważnego cudzoziemca. Dobrze to sobie obmyślił: jest pan drugi dzień na wyspie, nie znał pan starego komendanta ani kręgu jego myśli, pańskie europejskie poglądy są pełne uprzedzeń, być może, jest pan zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci w ogóle, a tego rodzaju maszynowego sposobu przeprowadzania straceń w szczególności, widzi pan ponadto, jak smutno odbywa się takie stracenie bez udziału publiczności, na nieco już uszkodzonej maszynie - czyż biorąc to wszystko pod uwagę (tak myśli komendant) nie byłoby całkiem możliwe, że nie uzna pan mojego postępowania za słuszne? A jeśli nie uzna go pan za słuszne (wciąż mówię po myśli komendanta), nie

będzie pan tego przemilczał, gdyż z pewnością ma pan zaufanie do swych wielokroć sprawdzonych przekonań. Owszem, widział pan wiele osobliwości u wielu narodów i nauczył się pan je szanować, dlatego też nie będzie się pan prawdopodobnie wypowiadał przeciw temu postępowaniu z całą siłą, jak by to pan zapewne uczynił w swojej ojczyźnie. Ale komendant wcale tego nie potrzebuje. Wystarczy mu jedno ulotne, nieoględne słowo. Nie musi nawet ono odpowiadać pańskiemu przekonaniu, niech tylko wyda się zgodne z jego życzeniem. Jestem pewien, że będzie pana wypytywał z całą przebiegłością. A jego damy będą siedzieć naokoło i nadstawiać uszu. Powie pan na przykład: "U nas postępowanie sądowe wygląda inaczej", albo: "U nas przesłuchuje się oskarżonego przed wyrokiem", albo: "U nas tortury istniały tylko w średniowieczu".

Wszystko to są uwagi równie słuszne, jak panu wydają się oczywiste, niewinne uwagi, które nie dotyczą mego postępowania. Ale jak je przyjmie komendant? Widzę go, tego zacnego komendanta, jak natychmiast odsuwa krzesło na bok i śpieszy na balkon, widzę jego damy, jak płyną za nim, słyszę jego głos - damy nazywają go grzmiącym - i oto, co mówi: "Wielki badacz z Zachodu, powołany do badań nad postępowaniem sądowym we wszystkich krajach, powiedział właśnie, że nasza stara procedura jest nieludzka. Po tej opinii, wyrażonej przez taką osobistość, nie mogę naturalnie tolerować dłużej takiej procedury. A zatem z dniem dzisiejszym rozkazuję"... i tak dalej. Pan chce wtrącić, że nie powiedział pan tego, co on rozgłasza, że nie nazwał pan mego postępowania nieludzkim, przeciwnie, że w swym najgłębszym przekonaniu uważa pan je za najbardziej ludzkie i najbardziej godne człowieka, że podziwia pan również naszą maszynerię... , ale jest już za późno; nie wchodzi pan nawet na balkon, który jest już pełen dam; chce pan zwrócić na siebie uwagę; chce pan krzyczeć, ale

damska rączka zamyka panu usta, a ja, wraz z dziełem dawnego komendanta, jestem zgubiony.

Podróżny musiał stłumić uśmiech; a więc tak łatwe było zadanie, które on uważał za tak trudne.

Odpowiedział wymijająco:

- Pan przecenia mój wpływ; komendant przeczytał moje pismo polecające i wie, że nie jestem żadnym znawcą postępowania sądowego. Gdybym wyraził swoje zdanie, byłoby to zdanie człowieka prywatnego, znaczące nie więcej niż zdanie kogokolwiek innego, a w każdym razie o wiele mniej znaczące niż zdanie komendanta, który w tej karnej kolonii posiada, jak widzę, prawa bardzo rozległe. Jeśli jego opinia o tej procedurze jest tak stanowcza, jak pan sądzi, wtedy - obawiam się - nadchodzi koniec tej procedury, bez mojej skromnej pomocy.

Czy oficer to już zrozumiał? Nie, jeszcze nie zrozumiał. Żywo potrząsnął głową, zerknął w tył na skazańca i żołnierza, którzy wzdrygnęli się i poniechali ryżu, podszedł całkiem blisko do podróżnego, nie spojrzał mu w twarz, lecz gdzieś na surdut, i rzekł ciszej niż poprzednio:

- Pan nie zna komendanta; jest pan wobec niego i wobec nas wszystkich, proszę mi wybaczyć wyrażenie, nieco naiwny; niech mi pan wierzy, pańskiego wpływu nie można ocenić dość wysoko.

Byłem szczęśliwy, gdy usłyszałem, że pan sam ma być obecny przy egzekucji. To zarządzenie komendanta miało we mnie ugodzić, ale ja obracam je na swoją korzyść. Niezwiedziony fałszywymi podszeptami i pogardliwymi spojrzeniami, czego przy udziale liczniejszej publiczności nie mógłby pan uniknąć, wysłuchał pan moich objaśnień, obejrzał pan maszynę i może pan teraz ze zrozumieniem

przyjrzeć się egzekucji. Pańska opinia już się zapewne umocniła; jeżeli istnieją jeszcze małe wątpliwości, rozproszy je widok egzekucji. I teraz przedstawiam panu mą prośbę: niech mi pan pomoże przeciwko komendantowi!

Podróżny nie pozwolił mu dalej mówić.

- Jakże ja mogę - wykrzyknął - to jest zupełnie niemożliwe! Mogę panu równie mało pomóc, jak zaszkodzić.

- Pan to może - rzekł oficer.

Podróżny z pewną obawą ujrzał, że oficer zacisnął pięści.

- Pan to może - powtórzył oficer z jeszcze większym naciskiem. - Mam pewien plan, który musi się udać. Pan sądzi, że pański wpływ nie wystarcza. Ja wiem, że wystarcza. Ale przyjmując, że pan ma słuszność, to czyż dla utrzymania tej procedury nie należy koniecznie próbować wszystkiego, nawet, o ile to możliwe, rzeczy niewystarczających? Więc niech pan posłucha mojego planu. Do jego przeprowadzenia trzeba przede wszystkim, aby pan dzisiaj w kolonii zechciał się wstrzymać z pańską opinią o procedurze. Jeśli nikt pana wprost nie zapyta, nie wolno się panu w żadnym wypadku wypowiadać; jednakże pańskie oświadczenia muszą być krótkie i stanowcze; powinno być widać, że ciężko jest panu o tym mówić, że jest pan rozgoryczony, że gdyby pan miał być szczery, musiałby pan wybuchnąć przekleństwami. Nie żądam, aby pan kłamał, w żadnym razie; powinien pan tylko odpowiadać krótko, na przykład: "Tak, widziałem egzekucję", albo: "Tak, wysłuchałem wszystkich objaśnień". Tylko tyle, nic więcej. Powodów do zgorzknienia, które u pana winno być widoczne, jest dosyć, choćby były one po myśli komendanta. On naturalnie zrozumie to całkowicie błędnie i wytłumaczy sobie po swojej myśli. Na tym opiera się mój plan. Jutro odbywa się w komendanturze pod

przewodnictwem komendanta wielkie posiedzenie wszystkich wyższych urzędników zarządu.

Naturalnie komendant wpadł na myśl, aby z takich posiedzień robić widowisko. Zbudowano galerię, która jest stale pełna widzów. Zmuszony jestem brać udział w tych naradach, choć otrząsam się ze wstrętu. Otóż pan w każdym razie z pewnością zostanie zaproszony na posiedzenie; jeśli dzisiaj zachowa się pan zgodnie z moim planem, wyglądać będzie, że zaproszenie jest pana usilnym życzeniem. Gdyby pan jednak z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny mimo wszystko nie został zaproszony, musi pan zaproszenia zażądać; nie ulega wątpliwości, że je pan otrzyma. A więc siedzi pan jutro razem z damami w loży komendanta. On, często spoglądając w górę, upewnia się, że pan tam jest. Po rozmaitych obojętnych, śmiesznych punktach obrad, obliczonych tylko na widzów - przeważnie są to prace nad budową portu, wiecznie te prace nad budową portu! - zaczyna się wreszcie mówić o postępowaniu sądowym. Gdyby ze strony komendanta do tego nie doszło, albo nie doszło dość szybko, już ja się o to postaram. Wstanę i złożę meldunek o dzisiejszej egzekucji. Tylko ten meldunek, całkiem krótko. Nie ma tam wprawdzie zwyczaju składania takich meldunków, zrobię to jednak. Komendant dziękuje mi, jak zwykle, z uprzejmym uśmiechem i teraz nie może się już cofnąć, korzysta z dobrej sposobności.

"Złożono właśnie - tak mniej więcej powie - złożono właśnie meldunek o egzekucji. Do tego meldunku chciałbym tylko dodać, że właśnie przy tej egzekucji obecny był wielki badacz, o którego wizycie, tak niezwykle dla naszej kolonii zaszczytnej, wszyscy państwo wiecie. Jego obecność podnosi także znaczenie naszego dzisiejszego posiedzenia. Czy nie zechcemy więc zadać temu wielkiemu badaczowi pytania, w jaki sposób osądza on egzekucję dokonaną według starej metody i postępowanie sądowe, które ją

poprzedza? " Naturalnie wszędzie oklaski, powszechna aprobata, ja zachowuję się najgłośniej. Komendant kłania się przed panem i mówi: "A więc w imieniu wszystkich stawiam to pytanie". I teraz podchodzi pan do balustrady. W sposób dla wszystkich widoczny kładzie pan na niej ręce, inaczej ujmą je damy i będą się bawić palcami. I teraz w końcu pan ma głos. Nie wiem, jak wytrzymam napięcie godzin poprzedzających tę chwilę. W swej mowie nie potrzebuje pan nakładać sobie żadnych hamulców, niech pan podniesie prawdziwy alarm, niech się pan pochyli nad balustradą, niech pan ryczy, ależ tak, niech pan wyryczy komendantowi swoje zdanie, swoje niezachwiane zdanie. Ale może nie chce pan tego, może nie zgadza się to z pańskim charakterem, może w pańskiej ojczyźnie zachowują się w takiej sytuacji inaczej, nic nie szkodzi, to także zupełnie wystarczy: niech pan wcale nie wstaje, niech pan powie tylko kilka słów, niech pan je wyszepce, tak aby usłyszeli je tylko siedzący pod panem urzędnicy, to wystarczy. Nie musi pan wcale sam mówić o braku zainteresowania egzekucją, o skrzypiącym kole, o zerwanym rzemieniu, o wstrętnym filcu, nie, wszystko to ja już biorę na siebie, i niech mi pan wierzy, jeśli moja mowa nie wypędzi go z sali, to zmusi go do tego, że padnie na kolana, że będzie musiał wyznać: "Stary komendancie, schylam się przed tobą w pokłonie". Oto mój plan; czy zechce mi pan pomóc w jego wykonaniu? Ależ oczywiście, zechce pan, więcej, musi pan!

Tu oficer ujął podróżnego za oba ramiona i ciężko oddychając spojrzał mu w twarz. Ostatnie zdania krzyczał tak głośno, że zwróciło to nawet uwagę żołnierza i skazańca; mimo że nic nie mogli zrozumieć, przerwali jedzenie i żując patrzyli w stronę podróżnego.

Odpowiedź, której musiał udzielić, była dla podróżnego od samego początku niewątpliwa; za wiele w swym życiu doświadczył, by tutaj mógł się wahać; był z gruntu uczciwy i

nie ulegał trwodze. Mimo to teraz, w obliczu żołnierza i skazańca, zwlekał przez krótką jak oddech chwilę. Lecz wreszcie odpowiedział tak, jak musiał:

- Nie.

Oficer wielekroć zamrugał powiekami, ale nie spuścił z niego wzroku.

- Czy chce pan wyjaśnień? - zapytał podróżny.

Oficer w milczeniu skinął głową.

- Jestem przeciwnikiem tej procedury - powiedział podróżny. - Zanim jeszcze okazał mi pan zaufanie, zaufania tego naturalnie w żadnych okolicznościach nie nadużyję, zastanawiałem się już, czy miałbym prawo wystąpić przeciw tej procedurze i czy moje wystąpienie mogłoby mieć choćby małe widoki powodzenia. Przy tym było dla mnie jasne, do kogo musiałbym się najpierw zwrócić: naturalnie do komendanta. Pan mi to jeszcze bardziej uświadomił, jakkolwiek nie pan utwierdził mnie dopiero w tym postanowieniu. Przeciwnie, rozumiem pańskie uczciwe przekonanie, choć nie może mnie ono odwieść z mej drogi.

Oficer wciąż milcząc zwrócił się do maszyny, ujął jedną z mosiężnych sztab, a potem, odchyliwszy się nieco w tył, spojrzał w górę na rysownik, jak gdyby sprawdzał, czy wszystko jest w porządku.

Wydawało się, że żołnierz i skazaniec zaprzyjaźnili się z sobą; skazaniec, choć mocno skrępowany, dał znak żołnierzowi, żołnierz nachylił się ku niemu i skazaniec coś mu szepnął, a żołnierz kiwnął głową.

Podróżny podszedł do oficera i powiedział:

- Nie wie pan jeszcze, co chcę uczynić. Wyjawię wprawdzie komendantowi mój pogląd na procedurę, ale nie na posiedzeniu, lecz w cztery oczy; nie pozostanę tu też tak długo, żebym mógł zostać wezwany na jakiekolwiek posiedzenie; już jutro rano odjadę albo przynajmniej zaokrętuję się.

Zdawało się, jak gdyby oficer nie słuchał.

- A więc procedura pana nie przekonała - rzekł do siebie i uśmiechnął się, tak jak starzec uśmiecha się nad głupotą dziecka, a poza uśmiechem ukrywa swe własne, prawdziwe myśli. - A więc nadszedł czas - powiedział w końcu i spojrzał nagle na podróżnego jasnymi oczami, w których widać było jakieś wezwanie, jakiś apel.

- Na co nadszedł czas? - niespokojnie zapytał podróżny, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

- Jesteś wolny - powiedział oficer do skazańca w jego języku. Ten z początku nie uwierzył. - No, jesteś wolny - rzekł oficer.

Twarz skazańca po raz pierwszy naprawdę się ożywiła. Czy to była prawda? Czy był to tylko przemijający kaprys oficera? Czy ten obcy podróżny wyjednał mu łaskę? Co to było? - zdawała się pytać jego twarz. Ale niedługo. Cokolwiek to być mogło, chciał, jeśli mógł, naprawdę być wolnym i począł się szarpać, o ile pozwalała na to brona.

- Zrywasz mi rzemienie - krzyknął oficer. - Uspokój się! Już cię puszczamy! - i razem z żołnierzem, któremu dał znak, zabrał się do pracy.

Skazaniec cicho, bez słów, śmiał się przed siebie, zwracał twarz to na lewo do oficera, to na prawo do żołnierza, nie zapominał także o podróżnym.

- Wyciągnij go - rozkazał oficer żołnierzowi. Ze względu na bronę należało przy tym zachować pewną ostrożność. Z powodu swojej niecierpliwości skazaniec miał już kilka małych, szarpanych ran na plecach.

Ale od tej chwili oficer prawie się o niego nie troszczył. Podszedł do podróżnego, wyjął znowu małą skórzaną teczkę, przerzucał w niej kartki, wyciągnął wreszcie tę, której szukał, i pokazał ją podróżnemu.

- Niech pan czyta - powiedział.

- Nie umiem - odparł podróżny. - Powiedziałem już, że nie umiem odczytywać tych kartek.

- Niech pan jednak dokładnie obejrzy kartkę - rzekł oficer i stanął obok podróżnego, aby czytać razem z nim. Gdy i to nie pomogło, aby ułatwić podróżnemu czytanie, zaczął wodzić małym palcem bardzo wysoko nad papierem, jak gdyby w żadnym wypadku nie można było dotknąć kartki. Podróżny, aby przynajmniej w ten sposób okazać się grzecznym wobec oficera, także zadawał sobie trud, ale bezskutecznie. Oficer zaczął więc sylabizować napis, a potem raz jeszcze płynnie go odczytał.

- To znaczy: "Bądź sprawiedliwy! " - rzekł. - Teraz umie pan już chyba przeczytać.

Podróżny tak nisko pochylił się nad papierem, że oficer w obawie przed dotknięciem odsunął go dalej; podróżny wprawdzie nic już nie powiedział, ale było jasne, że wciąż jeszcze nie potrafi przeczytać.

- To znaczy: "Bądź sprawiedliwy! " - raz jeszcze powiedział oficer.

- Być może - odparł podróżny. - Wierzę, że jest to tutaj napisane.

- Więc dobrze - rzekł oficer, przynajmniej częściowo zadowolony, i wstąpił z kartką na drabinę; z największą ostrożnością umieścił kartkę w rysowniku i zdawało się, że gruntownie przestawił zespół zębatych kół; była to bardzo żmudna praca, trzeba było zająć się także małymi kółkami, niekiedy głowa oficera zupełnie znikała w rysowniku, tak dokładnie musiał badać mechanizm.

Podróżny z dołu bez przerwy śledził tę pracę, szyja mu zdrętwiała, a oczy bolały od słonecznego blasku, którym obsypane było niebo. Żołnierz i skazaniec zajęci byli tylko sami sobą. Żołnierz końcem bagnetu wyciągnął koszulę i spodnie skazańca, które leżały już w wykopie. Koszula była straszliwie brudna i skazaniec wyprał ją w kuble z wodą. Gdy włożył potem koszulę i spodnie, tak żołnierz, jak i skazaniec wybuchnęli głośnym śmiechem, gdyż odzież ta była z tyłu rozcięta na dwoje. Skazaniec uważał widać za swój obowiązek zabawić żołnierza, gdyż w rozciętym ubraniu kręcił się przed nim w kółko, a żołnierz kucnął na ziemi i śmiejąc się bił się w kolana. Mimo wszystko opanowali się przez wzgląd na obecność panów. Gdy oficer był wreszcie na górze gotów, uśmiechając się, raz jeszcze objął spojrzeniem całość i poszczególne części maszynerii, zatrzasnął tym razem pokrywę rysownika, która dotychczas był otwarta, zszedł na dół, spojrzał do wykopu, a potem na skazańca, zauważył z zadowoleniem, że ów wyciągnął swoje ubranie, następnie podszedł do wiadra z wodą, aby umyć ręce, zbyt późno zauważył paskudny brud, zmartwił się, że nie może ich teraz porządnie umyć, zanurzył je wreszcie w piasku - ta namiastka mu nie wystarczała, ale musiał się nią zadowolić - po czym powstał i zaczął rozpinać swoją mundurową kurtkę. Spadły mu zaraz przy tym do rąk dwie damskie chusteczki, które zatknął za kołnierz.

- Masz tu swoje chusteczki - powiedział i rzucił je skazańcowi. A do podróżnego rzekł wyjaśniająco:

- Damskie prezenty.

Mimo widocznego pośpiechu, z jakim ściągał kurtkę, a następnie zupełnie się rozbierał, obchodził się jednak z każdą częścią ubrania bardzo troskliwie, przeciągnął nawet umyślnie palcami po srebrnych sznurach przy kurtce i otrząsnął frędzle. Nie bardzo zresztą zgadzało się z tą troskliwością, że skoro tylko uporał się z częścią ubrania, natychmiast niechętnym ruchem wrzucał ją do wykopu. Ostatnią rzeczą, która mu pozostała, był krótki sztylet z pendentem. Wyciągnął sztylet z pochwy, złamał go, zebrał potem wszystko: kawałki sztyletu, pochwę i pendent i odrzucił tak gwałtownie, aż zadźwięczało na dnie wykopu.

Stał teraz nagi.

Podróżny zagryzł wargi i nic nie mówił. Wiedział wprawdzie, co się stanie, ale nie miał prawa w czymkolwiek oficerowi przeszkadzać. Jeżeli nawet postępowanie sądowe, z którym związany był oficer, było naprawdę bliskie uchylenia - być może wskutek wystąpienia podróżnego, do którego ten ze swojej strony czuł się zobowiązany - to jednak obecnie oficer postępował całkowicie słusznie; podróżny na jego miejscu nie postąpiłby inaczej.

Żołnierz i skazaniec w pierwszej chwili nic nie rozumieli, z początku nawet nie patrzeli. Skazaniec był bardzo uradowany, że odzyskał chusteczki, ale nie zdołał cieszyć się nimi długo, gdyż żołnierz zabrał mu je szybkim i nieoczekiwanym ruchem. Teraz znów skazaniec próbował wyciągnąć żołnierzowi chusteczki zza pasa, za którym je schował, lecz żołnierz miał się na baczności. Tak przekomarzali się półżartem. Dopiero gdy oficer zupełnie się

obnażył, zwróciło to ich uwagę. Zwłaszcza skazaniec zdawał się być tknięty przeczuciem jakiejś wielkiej zmiany. To, co zdarzyło się jemu, spotkało teraz oficera. Może odbędzie się to aż do końca. Prawdopodobnie obcy podróżny wydał taki rozkaz. Była to więc zemsta. On sam nie wycierpiał do końca, zostanie jednak teraz aż do końca pomszczony. Szeroki, bezgłośny śmiech pojawił się na jego twarzy i już nie znikał.

Oficer zaś zwrócił się ku maszynie. O ile już przedtem było jasne, że świetnie ją znał, to teraz niemal przerażało, jak się z nią obchodził i jak mu była posłuszna.

Zbliżył tylko rękę do brony, a ona wielokrotnie uniosła się i opadła, dopóki nie przybrała właściwego położenia, by przyjąć oficera; ujął tylko za brzeg łóżka, a ono już zaczynało drgać; filcowy klin podsunął się ku jego ustom, widać było, że oficer właściwie go nie chce, ale wahał się tylko przez moment, zaraz się poddał i przyjął go. Wszystko było gotowe, tylko rzemienie zwisały po bokach, ale widocznie były niepotrzebne, oficer nie musiał być przywiązany. Wtem skazaniec zauważył wiszące rzemienie, a jego zdaniem egzekucja nie była zupełna, skoro one nie były zapięte, żywo skinął więc na żołnierza i pobiegli, by skrępować oficera. Ten wyciągnął już jedną nogę, aby pchnąć nią korbę, która powinna wprawić w ruch rysownik, gdy zobaczył, że ci dwaj nadeszli; cofnął więc nogę z powrotem i pozwolił się przywiązać. Ale teraz nie mógł już dosięgnąć korby; ani żołnierz, ani skazaniec nie umieliby jej odnaleźć, a podróżny postanowił się nie ruszać. Nie było to potrzebne; ledwie zaciągnięto rzemienie, już maszyna zaczęła pracować; łóżko drgało, igły tańczyły po skórze, brona kołysała się tam i z powrotem. Podróżny już przez chwilę patrzył na to, zanim sobie przypomniał, że koło w rysowniku powinno skrzypieć; ale było zupełnie cicho, nie było słychać nawet najlżejszego szmeru.

Dzięki tej cichej pracy maszyna dosłownie nie zwracała uwagi. Podróżny spojrzał na żołnierza i skazańca. Skazaniec był bardziej ożywiony, wszystko go w maszynie interesowało, to się pochylał, to wyprostowywał, ciągle wsuwał palec, aby coś pokazać żołnierzowi. Było to dla podróżnego przykre.

Postanowił pozostać tutaj aż do końca, ale nie potrafił znieść widoku tych dwóch.

- Idźcie do domu - powiedział.

Żołnierz byłby może na to przystał, ale skazaniec przyjął rozkaz po prostu jako żart. Składając błagalnie ręce prosił, aby mu wolno było tu zostać, a gdy podróżny potrząsając głową nie chciał ustąpić, klęknął nawet. Podróżny zobaczył, że rozkazy nic tu nie pomogą, chciał przejść na drugą stronę i przepędzić tych dwóch. Wtedy usłyszał łoskot wysoko, w rysowniku. Spojrzał w górę. A więc koło zębate jednak się psuło? Ale to było coś innego. Pokrywa rysownika powoli się uniosła, a potem zupełnie odskoczyła. Ukazały się i uniosły w górę tryby zębatego koła, wkrótce wyłoniło się całe koło.

Było to, jak gdyby jakaś wielka siła zgniatała rysownik, tak że dla tego koła nie pozostało już miejsca.

Koło przekręciło się aż do krawędzi rysownika, spadło w dół, potoczyło się kawałek po piasku i upadło.

Ale już drugie wysuwało się w górze, a za nim wiele dużych i małych, które niemal nie różniły się między sobą. Z wszystkimi działo się to samo. Wciąż się zdawało, że teraz rysownik musi już być całkiem pusty, lecz wtedy zjawiała się nowa, szczególnie liczna grupa kół, wyłaniały się one, spadały w dół, toczyły w piasku i wywracały się. Wśród tego skazaniec zupełnie zapomniał o rozkazie podróżnego, zębate koła wprost go zachwycały, wciąż chciał któreś

schwycić, zarazem przynaglał żołnierza, aby mu pomógł, ale z przestrachem cofał rękę, gdyż zaraz spadało nowe koło, które przynajmniej w pierwszej chwili napełniało go obawą.

Podróżny natomiast był bardzo zaniepokojony; maszyna wyraźnie rozpadała się w gruzy; jej spokojne działanie było złudzeniem; doznał uczucia, że powinien zatroszczyć się o oficera, gdyż ten nie mógł już myśleć sam o sobie. Lecz podczas gdy wypadek z kołami zaprzątał całą jego uwagę, zapomniał obserwować resztę maszyny. Ale gdy teraz, kiedy ostatnie koło wypadło z rysownika, pochylił się nad broną, spotkała go nowa, jeszcze gorsza niespodzianka. Brona nie pisała, tylko kłuła, a łóżko nie obracało ciała, tylko z drganiem unosiło je ku igłom. Podróżny chciał wdać się w tę sprawę, o ile możności zatrzymać całość, to już nie była tortura, jakiej pragnął dostąpić oficer, to był zwyczajny mord. Wyciągnął ręce. Ale wtedy brona, wraz ze zmasakrowanym ciałem, uniosła się i przechyliła na bok, tak jak to zwykle czyniła dopiero w dwunastej godzinie. Setkami strumyków płynęła krew, nie zmieszana z wodą, gdyż tym razem nie działały także rurki wodne. A teraz zawiodła jeszcze ostatnia rzecz: ciało nie odrywało się od długich igieł, wykrwawiało się, lecz zwisało nad wykopem i nie spadało. Brona chciała już wrócić do dawnego położenia, ale jak gdyby sama poczuła, że nie uwolniła się jeszcze od swego ciężaru, pozostała jednak nad wykopem.

- Pomóżcie przecie! - krzyknął podróżny do żołnierza i skazańca i sam chwycił za stopy oficera. Chciał tutaj ująć stopy, tamci dwaj powinni z drugiej strony chwycić za głowę i w ten sposób należało oficera powoli ściągnąć z igieł. Ale teraz tamci dwaj nie mogli się zdecydować; skazaniec nawet się odwrócił; podróżny musiał przejść do nich na drugą stronę i przemocą popchnąć ich do głowy oficera. Przy tym mimo woli ujrzał twarz trupa. Była taka jak za życia, nie można było odkryć na niej żadnego znaku przyrzeczonego

wyzwolenia; oficer nie znalazł tego, co wszyscy inni w maszynie znajdywali. Wargi jego były silnie zaciśnięte, otwarte oczy sprawiały wrażenie żywych, ich spojrzenie było spokojne i stanowcze; ostrze dużego żelaznego kolca przeszywało czoło.

Kiedy podróżny, a za nim żołnierz i skazaniec doszli do pierwszych domów kolonii, żołnierz wskazał na jeden z nich i powiedział:

- Tutaj jest herbaciarnia.

Na parterze domu znajdowało się głębokie, niskie pomieszczenie, sklepione na kształt jaskini, o zadymionych ścianach i suficie. Od strony ulicy było otwarte na całej swej szerokości. Jakkolwiek herbaciarnia niewiele różniła się od innych domów kolonii, które z wyjątkiem pałacowych budowli komendantury były bardzo nędzne, to jednak wywarła ona na podróżnym wrażenie historycznego zabytku - uczuł potęgę minionych czasów.

Zbliżył się, przeszedł w asyście swych towarzyszy między pustymi stolikami, które stały na ulicy przed herbaciarnią, i odetchnął chłodnym, stęchłym powietrzem płynącym z wnętrza.

- Tutaj pogrzebano starego - rzekł żołnierz. - Duchowny odmówił mu miejsca na cmentarzu. Długo się zastanawiano, gdzie go pochować, w końcu pochowano go tutaj. O tym panu oficer pewnie nie opowiadał, bo tego naturalnie najwięcej się wstydził. Próbował nawet kilka razy w nocy odgrzebać starego, ale zawsze go przepędzano.

- Gdzie jest grób? - spytał podróżny, który nie mógł żołnierzowi uwierzyć.

Zaraz pobiegli przed nim obydwaj, żołnierz i skazaniec, i wyciągniętymi rękami wskazali miejsce, w którym grób miał się znajdować. Zaprowadzili podróżnego aż do tylnej ściany, gdzie przy kilku stołach siedzieli goście. Byli to prawdopodobnie robotnicy portowi, silni mężczyźni o krótkich, czarno połyskujących brodach. Wszyscy byli bez kurtek, w podartych koszulach. Byli to ludzie ubodzy i pokorni. Gdy podróżny się zbliżył, niektórzy z nich wstali, przywarli do ściany i wpatrywali się w niego.

- To jest cudzoziemiec - rozległ się szept wokół podróżnego. - Chce zobaczyć grób.

Odsunęli na bok jeden ze stołów, pod którym rzeczywiście znajdował się kamień nagrobny. Był to prosty kamień, dość niski, aby można go było ukryć pod stołem. Pokrywał go napis, złożony z bardzo małych liter, podróżny musiał uklęknąć, by je odczytać. Napis głosił:

TU SPOCZYWA STARY KOMENDANT.

JEGO ZWOLENNICY, KTÓRZY MUSZĄ TERAZ POZOSTAĆ BEZIMIENNI, WYKOPALI MU GRÓB I POŁOŻYLI KAMIEŃ.

ISTNIEJE PROROCTWO, ŻE PO PEWNEJ LICZBIE LAT KOMENDANT ZMARTWYCHWSTANIE I Z TEGO DOMU POPROWADZI SWYCH ZWOLENNIKÓW DO WALKI O ODZYSKANIE KOLONII.

UFAJCIE I CZEKAJCIE!

Gdy podróżny przeczytał to i powstał, zobaczył, że ludzie stoją wokół niego i uśmiechają się, jak gdyby wraz z nim przeczytali napis, uznali go za śmieszny i wzywali podróżnego, aby podzielił ich zdanie. Podróżny udawał, jakby tego nie zauważył, rozdzielił między nich kilka monet,

zaczekał jeszcze, aż przesunięto stół nad grób, opuścił herbaciarnię i poszedł do portu.

Żołnierz i skazaniec znaleźli w herbaciarni znajomych, którzy ich zatrzymali. Musieli się jednak szybko z nimi rozstać, bo podróżny znajdował się dopiero pośrodku długich schodów wiodących do łodzi, gdy już za nim nadbiegli. Prawdopodobnie chcieli w ostatniej chwili zmusić podróżnego, aby zabrał ich z sobą. Podczas gdy na dole podróżny umawiał się z przewoźnikiem o przejazd na parowiec, ci dwaj pędzili po schodach, w milczeniu, gdyż nie mieli odwagi krzyczeć. Ale gdy zeszli na dół, podróżny był już w łodzi, a przewoźnik odbijał właśnie od brzegu. Mogliby jeszcze wskoczyć do łodzi, ale podróżny podniósł z jej dna ciężką, węźlastą linę, pogroził im nią i w ten sposób wstrzymał ich od skoku.